

Z pokłosa naszego konkursu

W „przedhistorycznym” okresie radioamatorstwa

Kontynuując rozpoczęte w zeszłą niedzielę omawianie odpowiedzi konkursowych słuchaczy - radioamatorów, przytoczymy obecnie te z nich, które odnoszą się do początków naszego radioamatorstwa t. j. do okresu sprzed ok. 10-ciu lat.

Kiedy nadawał tylko Berlin

Było to w latach 1923/1924 — pisze p. Wł. J-ski, emerytowany nauczyciel z Podkowie Leśnej pod Warszawą — kiedy prawie nikomu się jeszcze nie śniło o radio. Raz po raz tylko począł przelatywać się za pośrednictwem prasy, jeżeli, iż zagranicą poruszał jakieś radiostacje, które wysyłały w świat na niewidzialnych falach mowę ludzką, śpiew, muzykę i że przy pomocy odpowiednich aparatów wszystko to można chwycić i słyszeć.

Zrazu puszczało się te wieści dość obco, niechętnie mimo uszu. Kiedy jednak usłyszałem, że wśród oficerów i w Stawie Techników Polskich znajdują się już takie odbiorniki i że nawet będą demonstrowane publicznie, udałem się tam nie z ciekawości. Zobaczyłem po raz pierwszy cudowną i tajemniczą skrzynkę, z której, donośnym choć jeszcze mocno chrapliwym głosem nadszalało: „Hallo! hallo, radio Berlin!” a potem mowę i muzykę.

Pamiętam jak dziś: tuż obok pałacu, niecałkowicie rozgorączkowaną zaciągawicą, ale i z resztą i żalu, że nie ma do Polski tak cicho, że Polska także w ogniu narodów idzie. Po powrocie do domu ustatkowanie brzmienia mi w uszach naprężaniem: „Hallo! hallo, radio Berlin!” — muzyka i — „Wszystko wesołe!”

Skoro tacy Niemcy mają już tysiące odbiorników i sami je sobie konstruują, to i my to chyba potrafimy: trzeba się więc wziąć do tego niezwłocznie. Ba, ale gdzie i jak?

Gdzieś mi sprzyjało. Przechodząc ulicą Sienkiewicza spostrzegłem w oknie wystawionym firmy elektrotechnicznej śląg skrzynkę z napisem „Radio - Telefunken”. Była to prawdziwie podobnie pierwsza firma w Warszawie, która rozpoczęła sprzedaż aparatów. Ceny jednak były tak wysokie, że postanowiłem zbudować sobie odbiornik skromniejszy, tańszy, zrealizować ze użyciem kuchenek firmy inż. D. udeśli mi potrzebnych wskazówek i dostarczył radiostację.

Niebawem też 2-lampowy aparat był gotów. Trzeba było teraz wykonać antenę słuchawki. Wespół z synem, czworoklasistą, probiliśmy słuchawki, mocno podobne do słuchawek telefonicznych i na nich wzorowane (na wzór zdobyliśmy starą słuchawkę w szmelcu na Bagnie).

Niestety, aparat nie myślał przemówić — młecz jak grób. Trudno opisać, cośmy próbowali, ile nocy nie przespał. W czym tkwi przyczyna? Wtedy nasza była czasaka uboga... Idzie

Transmisje koncertów symfonicznych

W ciągu września Polskie Radio nadawać będzie w dalszym ciągu koncerty symfoniczne ze studjów. Dopiero od dnia 1 października rozpoczyna się transmisje koncertów symfonicznych ze wszystkich filharmonij w kraju dzięki czemu realizowany będzie plan Polskiego Radia ożywienie ośrodków poważnej muzyki w naszych miastach regionalnych.

„Odkrycie” Warszawy

Rzesze radioamatorów rozmnażały się coraz szybciej, a każdy z nich był w swoim rodzaju „odkrywcą”. Oto jak p. G. Studziński, nauczyciel z Milanówka, opisuje... odkrycie Warszawy:

Było to wiosną 1925 roku. Jako uczeń klasy 8-jej postanowiłem z kolegą zbudować aparat radiowy. Po zapoznaniu się z odpowiednią literaturą zmontowaliśmy, nie pomnę już jaką, 2-lampową „antę”. Był to przedwzrost konstrukcji aparat, składający się z wywoławczych dyktów, płytki chinitowej, lampy, kilku płaskich cewek itp. Uzupełniały to arcydzieło słuchawki, za ostatni grosz szlabki zdobyte.

Aparat nasz działał, ale cóż! pozu przetrząsnąć gwizdem — nie było słychać. Po wprowadzeniu ulepszeń gwizd niekiedy ustawał i udawało się „dapać” depesze iskrowe „ti-ti-ti”, no i aparat nasz stał się tak niedyskretny, że przekazywał nam ułki rozmów telefonicznych z pobliskiej rozmównicy pocztowej.

Nasza wiedza techniczna - radiowa słabła się, wobec osiągniętych wyników, bezsilna. Poczyliśmy jednak w budowie nowe zmiany i, obok ciągłego „ti-ti” usłyszałem coś, niby brzęczenie kamara. Przeciąłem koleję i obaj zamieniliśmy się w słuch. Przesunąłem cewkę: brzęczenie powiększyło się — było to, płynące na falach eteru, muzyka, ale jakże cicha! Po chwili ustala i słychać było głos ludzki, słowa te jednak były dla nas zupełnie niezrozumiałe.

Próbę wzmożenia „zapanej” przez nas stacji spełniły na niczem, mimo to byliśmy dumni ze swego dzieła i zaintrygowani tajemniczą stacją. W słuchawce słyszeć było w to słabkie dźwięki — beznadziejnie, by je wzmożyć, a obawiający się je stracić.

Wtem — spojrzeliśmy na siebie wzrokiem ludzi, którzy dokonali niezwykłego odkrycia: ciutkie brzęczenie miało nam znano melodie... mazurka Dąbrowskiego!

Na płycie chinitu widniała za chwile kreska, mająca oznaczać: „Warszawa”.

Kwiaty i ciernie

Bywały także nieprzewidywane

komplikacje. O jednej takiej pisze p. T. K., malarz z Warszawy:

Było to dziesięć lat temu. Pamiętam, że już dość dużo mówiono o radju w Warszawie. Jako młody chłopiec „zapaliłem się” do tego kunsztu, tembardziej że miałem możliwość uczęszczania na cykl wykładów radiotechnicznych, prowadzonych przez p. Stępowskiego, które (mówiąc nawiąsem) dały mi mocny fundament pod przyszłego radioamatora.

Nie było wówczas przystępnych podręczników, a sklepy z przybarami radiowymi można było znaleźć na palcach. Najsmutniej dla radioamatora przedstawiała się sprawa cen, gdyż prawie wszystkie sprzęty były zagraniczne, mocno cłony i dlatego bardzo drogi. To też marzeniem moim było posiadanie jakiegokolwiek bądź aparatu, byle własnego.

Po wielu tarapatach udało mi się skleić bardzo prymitywny aparat detektorowy, z humorystycznie wielką słuchawką „polową”. Rozgorączkowany wzięłem się do zakładania przewidywanej anteny, uziemienia, manipulowałem detektorem i słuchawką.

Pierwsza audycja na aparacie „mojej fabryki” wywarła na mnie duże wrażenie, lecz jeszcze większe „przeżyciem radiowym” było, gdy po kilku dniach przyszedł jegomość z policjantem, pytając czy mam pozwolenie na aparat. Zobaczył uziemienie (anteny nie było, gdyż słuchałem na żelazne łóżko), spisał protokół i zaczął porywać się z ojcem miałem wtedy lat zternastcie na pocztę głocząc, okienką Nr. 10.

Dzisiaj, gdy słucham audycji, wspomniam sobie pierwszy odbiór bardzo kłopotliwie — drugie zdurzenie, brzemienne ze skutli, trochę mniej czule.

P. S. Zauważam, że obecnie nie jestem „radiofajczarzem”...

Antena radiowa w służbie policji

WEDŁUG PROJEKTU ZETERA



Raz pajęczarz — mistrz wytrycha
Kradł bieliznę gdzieś na strychach.

Wtem go przy czynności owej
Spostrzegł pan posterunkowy.

Rozpoczął się wśród ciemności
nocnych za złodziejem pościg.

Ukrył się? Zwiął? Uciekł?... Ach, nie!
Nagle bowiem kózka ma chnie.

Bo biegnąc po dachu pan ten
zaplątał się w druty anten.

A policjant tylko chyc i...
tak radio służy policji. Gaska

»DOŻYWOCIE«



FRAGMENT KOMEDJI FREDRY
W RADIO I. IX. O GODZ. 13.20

Zmiany w „Teatrze Wyobraźni”

Repertuar „Teatru Wyobraźni” ulegnie w sezonie jesiennym pewnej reorganizacji. Aby ułatwić i uprzyścić radjosłuchaczom dobór odpowiedniego dla każdej indywidualności programu, całokształt repertuaru słuchowskiego podzielony został w następujący sposób:

Pierwszy czwartej miesiąca poświęcony będzie premierom wybitniejszych słuchowskich oryginalnych.

Drugi czwartej, objęty nazwą „Mikrofon dla wszystkich”, będzie zawierał słuchowiska popularne, propagandowe, okolicznościowe i rozrywkowe.

Trzeci czwartej wypełnią słuchowiska doświadczalne, z szeroko uwzględnieniem możliwości technicznych.

Czwarty czwartej miesiąca przeznaczony jest dla radjofonii zagranicznej. Będą tu nadawane najlepsze słuchowiska w polskim przekładzie i adaptacji.

Niedziele natomiast przeznaczone zostały wyłącznie niemal na powtarzanie

Nowy program radiowy

Nowy program radiowy na sezon jesienny - zimowy wchodzi w życie z dniem dzisiejszym i obowiązować będzie do dnia 1 marca 1936 r. W jesieni i zimie niedzielne audycje radiowe trwać będą od godz. 9.00 do 23.30, czyli 14 i pół godziny na dobę.

W dniu powszednim Warszawa czynna jest 11 godzin 25 minut (w soboty 12 godzin 40 minut), wszystkie zaś pozostałe rozgłosznie o godzinie dłuższej w porze obiadowej. Zmiana ta, polegająca na rozszerzeniu pracy stacji regionalnych w stosunku do pracy Raszyna, pozwoli na wydatniejsze, niż dotychczas wysyłanie radja w ośrodkach prowincjonalnych w czasie przerwy obiadowej w handlu.

„Godzina regionalna” została nieco rozszerzona. Obejmuje ona czas od 18.30 do 19.40. Ponadto każda rozgłosznie dysponuje jeszcze dodatkowymi odciwkami w innych porach dnia, przeznaczonymi bądź na muzykę, bądź na słowo. W czasie tym każda rozgłosznie nadaje audycje o charakterze lokalnym, mogące zainteresować przedewszystkiem słuchaczy danego okręgu i nawiązujące z nimi bezpośredni kontakt.

Długość odcinków przeznaczonych na poszczególne audycje, waha się od 2 godzin 20 min. do 5 minut, w zależności od potrzeb artystycznych i rzeczowych programu. Naogół jednak, zwłaszcza w muzyce, przeważa tendencja do nierozdzielania zbytnio poszczególnych odcinków i organizowania raczej w ramach jednej większej audycji koncertów o odmiennym charakterze.

Stosunek muzyki do słowa pozostał mniej więcej taki sam, jak w zimie roku ubiegłego i wyraża się cyfrą, jak 1:1,57. Muzyki czystej będzie w nowym programie zimowym około 58 proc. pozostałe zaś 42 proc. przypada na audycje mieszane i żywe słowo.

Z anten całego świata

Uznanie prasy dla sensacyjnej transmisi. W dowód uznania za transmisijsje z lotu do stratosfery w r. 1934 — „Atlantic City Press Club” ofiarował panu Burke Miller, dyrektorowi Wydz. Transmisyj specjalnych w

N. B. C. w New Yorku — medal brązowy, zaznaczając z uznaniem, że po raz pierwszy ludzie mieli sposobność usłyszeć opisywane przez pilota jego własne wrażenia w chwili, kiedy będąc o 12 mil nad ziemią przy gotowywał się do opuszczenia balonu, który rozpróży spał na ziemię.

Reklama przez własne radio. Pewna amerykańska księgarnia reklamuje się w oryginalny sposób: wysyła na objazd po całej Ameryce specjalnie w tym celu zbudowany samochód, pół osobowy a pół ciężarowy, zaopatrzony w małą stację nadawczą, przez którą reklamuje się na każdym postoju, przyciągając w ten sposób uwagę mieszkańców.

„Encyklopedia mówiona” przez radio

Począwszy od 3 września w każdy pierwszy i trzeci wtorek miesiąca o godz. 17.50 nadawana będzie z Krakowa t. zw. „Encyklopedia mówiona” w redakcji inż. Stanisława Broniewskiego. Radjosłuchacze, pragnący korzystać z usług tego oryginalnego „Czasopisma” proszeni są o nadesłanie załączki pod adresem „Polskie Radio” Kraków ul. Basztowa 9.

Zakres tematów jest bardzo różnorodny: historia, literatura, technika, zagadnienia ekonomiczne, społeczne, prawne, nauki przyrodnicze, nawet sport, kosmetyka i moda. Poszczególne tematy opracowane będą przez czołowych pracowników naukowych Wszechnicy Jagiellońskiej i Akademii Umiejętności. Nie będą one posiadać charakteru ściśle encyklopedycznych informacji lecz formę parafraz, możliwie barwnych i popularnych pogadek, których kilka składa się na 10-cio minutową audycję.

Z tygodnia

Bardzo interesujące było w ubiegłą środę słuchowisko „Młotomasteczkiwo dyplomaci”. Pełno wyrazistej charakterystyki środowiska akcji, plastyka poszczególnych postaci, sprawna reżyserja (w szczególności umiejętna rozdzielanie trzech planów: sala posiedzeń rady miejskiej, odgłosy z galerji i poufne szepty przy stole prezydjalnym) sprawiły, że się z rosnącym napięciem uwagi śledziło rozwój tej zaskarżonej walki o to, przy której uległy ma stanąć stacja lokalnej uliczki, do której zbudowania w końcu wcale nie doszło — śledziło mimo pewnych, zresztą niewielkich, trudności w zrozumieniu pełnego tekstu. Bo słuchowisko to nadawano... z Pragi, a zatem po czesku.

Tak, niestety. Dla radjosłuchaczy będących zwolennikami Teatru Wyobraźni, zacytowała moje uwagi „Antena”, ale w tej formie („Jego zdaniem” i t. d.), jak gdyby była to opinia subiektywna — ot, jak to nieraz bywa w świecie krytyki, gdy się ktoś do czegoś „przypnie”. Tymczasem jest to niestety fakt, smutny fakt, który najdobitniej ilustruje „rzeczywista rzeczywistość” programów ostatniego okresu. Raz tylko w tygodniu w czwartek i to tylko pół godziny — a czynie się już tej krótkiej programowej nie zapręcha?

W czwartek 22 sierpnia program zapowiadał nadawane z Po-

znania na całą Polskę „słuchowisko” p. t. Głupstwo, nie martwy się”, a cośmy usłyszeli? Gdyby istniały jakieś sposoby natychmiastowego reagowania słuchaczy i to w sposób uchwytliwy dla sprawców tej niezmiennie przykrej audycji, to w studio poznaskim powinny być przez pół godziny rozbrzmiewać gwizdy i syki z całej Polski, z której sobie dotkliwie zakpiono, dając niewiele sensu mający i raczej irytujący cocktail rewjowy. I to miało być „słuchowisko”, to ma być „Teatr Wyobraźni”? Oczywiście, normalny słuchacz, nie chcąc wywierać pomsty na słuchawkach czy głośniku, przerywał słuchanie lub uciekał na inną falę — mnie osobście obowiązki sprawozdawcy kazał dotrwać na posterunku do końca, ale wyznać muszę, że było to najprzykrejsze ze wszystkich dotychczasowych „przeżyć radiowych” w mem życiu.

Wprawdzie stacja poznańska zreflektowała się w ostatniej chwili i zapowiedź brzmiała nie „słuchowisko”, ale „lekcja audycji”. Jeszcze zamało: trzeba było dodać „bardzo” lekka, bo o minimalnym zgola ciężarze gatunkowym. Ale jakże to na miłość Boską? Czy rozgłosznie prowincjonalne nie podlegają żadnej centralnej kontroli programowej i mogą sobie tak swobodnie, na własną rękę, wypełniać przyznany im u-

dział w programie ogólnopolskim wszystkim, co tylko na myśl wpadnie? Czy się po to robiło ten cały ruch z wciąganiem literatów do współpracy w rozwijaniu Teatru Wyobraźni, aby go przemienić na „teatrzyk”? W kierownictwie literackim Polskiego Radja panował wprawdzie od początku tego roku stan tymczasowości, ale obecnie przecież już na stałe objął ten wydział p. Hulewicz, który słuchowskimi zainteresował się tak żywo... Tymczasem studio warszawskie, dawniej na tem polu bardzo czynne, od kilku tygodni zamilkło zupełnie, ostatnio zaś, gdy przyszyła na nie kolejna audycja słuchowska, wystąpiło z... operetką.

Sprawy przybierają obrót wręcz niepokojący jakież są przyczyny takiego stanu rzeczy, jakie intencje kierownictwa literackiego, jaka wyuczna programowa? Czy się słuchowiska naprawdę likwiduje — a jeśli tak, to dlaczego? Oto pytania, które domagają się autorytatywnych, i to w szybkim czasie, odpowiedzi.

Audycje wesołe rozwijają się coraz bardziej — są zupełnie wyrażnie „w modzie” — ale czy we właściwym kierunku? Ostatnio poruszyła to kwestję wileńska Kułka, stanowiący „na barykadach” w obronie arystokraty polskiego humoru przed szmoncesami. Audycja ta, niezbyt mocno od strony reżysersko-illustracyjnej, pełna była rozpędu i wigoru, ale...

niezbyst zrozumiała. W szczególności niebardzo było widać, aby nasz czysto sarmacki humor współczesny był naprawdę wesoły. Czegoś mu nie dostaje i dlatego właśnie tak silnie panoszy się szmoncesowość.

Sprawa zresztą rodzimych pierwiastków w naszym humorze nie jest rzeczą samej tylko rasy pisarza, ale raczej jego ducha, kultury, temperamentu. Nieraz stu procentowy arcydzieło plodzą humor najczystszy semickiego standardu, a bywa i naodwrot. Należałoby więc raczej mówić o celach i drogach polskiego humoru, niż o jego źródłach. Kto wie, czy nie byłaby najwłaściwszą drogą humoru charakterystyczny?

W każdym razie za dużo, jak dotąd, mamy werbalizmu i literackości. Wszysze się na nią rzucił, nawet ostatnio już i Lwów, a przecież to odcinek bardzo cenny i ogół nie tak znów żywo obchodzący, jak się wydaje naszym samorodnym wielkością pióra. Przypominają się czasy, kiedy w powieści polskiej musiał być bohaterem literat albo malarz, nikt inny nie był „typem” powieściowym — bo się poprostu naszym speciem literackim nie chciało sięgnąć głębiej i szerzej w życie całego społeczeństwa. Tak i teraz humor radiowy zbyt żeruje na łatwiznach. Coprawda, są niewątpliwie pewne trudności, wynikłe z obaw przed niepożądanymi skutkami humoru politycznego (czyż jednak nie przesadne?), ale czy nie dałoby

się sporo wesołości uzbierać na miedzach powszedniego życia? Tylko już dość t. zw. literackości, która sama może się i bardzo dobrze bawi sobą, ale nie dostrzega, że innych nie a nie to nie porusza. Zupełnie to podobne humoryście, który zaczyna się śmiać przed opowiedzeniem „kawalek” i gubi przez to połowę efektu.

Takim śmianiem się do myśli własnych był inauguracyjny reportaż z podróży statku „Pilsudski” z Trjestu do Gdyni. Kilku miesięcy temu konkurs „reportaży z życia” (zresztą niezbyt udany), poprzedził tę imprezę, w której ostatecznie zwycięstwo i honor speakerowania na statku dostały się pp. Bohdziewiczowi i Pawłowiczowi. Siły to bezwzględnie dobre, ale czy dość już doświadczone? Z reportażu trjesteńskiego nie odnieśliśmy niemal żadnych konkretnych wrażeń, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, jak wygląda statek, gorączka przedodjazdowa i t. p., a za to musieliśmy wysłuchiwać nieustannych „komunikatów” podróży ze statku do znajomych w kraju. Nasuwało się popularne pytanie: „Kogo” (...to obchodzi)? Ze pasażerem tej okazyjnej przejażdżki było bardzo wesoło, nie było więc i bez reportażu. A przecież obaj sprawozdawcy (zwłaszcza zaś p. Bohdziewicz), mając wielką przytomność umysłu oraz obrotności i nie potrzebowali takiego „wątowania” swego reportażu.

Nazajutrz zaś słyszeliśmy koncert reporterski p. Trojanowskiego, opisującego przebieg zawodów lekkoatletycznych z Amerykanami. Chwała Bogu, wrócił już na prawdę. A szkoda, że go nie było w czasie konkursu; wiele od niego mogłoby się nasi sprawozdawcy nauczyć.

Czego bowiem wymagamy od reportażu? Najpierw trzeba umieć patrzeć i widzieć — nie tylko oczyma, ale i refleksją mózgową, dostrzegając w danym przedmiocie wszystko, co może być w nim ciekawe. Powtóre, trzeba umieć pokazać innym, co się widzi. A po trzecie, musi się mieć to „coś”, które sugestywnie porwa za sobą słuchacza i zmusza go, aby patrzył, widział, przeżywał. To wszystko posiada p. Trojanowski i — coś jeszcze więcej: ma kilka par oczu i kilka mózgów. Potrafi z łatwością zonglera opisywać równocześnie zawody w skoku o tyczce, rzucie kulą i biegu, przewie nieraz wół zdanja, przeskakując z tematu na temat, ale nigdy nie zgubi wątku, panuje nad wszystkim jak wirtuoz.

Nie znam go osobiście ani nie wiem nawet, jak wygląda; dlatego tem swobodniej mogę dawać upust swojej — powiem szczerze: admiraacji. Jest to naprawdę zgola „ekstra” klasa i powinni ten nasz samorodny fenomen reportażu obserwować pilnie inni sprawozdawcy radiowi, bo się od niego bardzo wiele można nauczyć.

Marjan Grzegorezyk.